



www.parafia-wierzenica.pl



Wierzenicza

5 [181] 2023





O jedno tylko proszę, abyście wszędzie gdzie będziecie, pamiętali o mnie przy ołtarzu Pańskim.

W bieżącym roku rozpoczynając przygotowania do listopadowego wydania „Wierzeniczeń” na pamięć przychodzą mi wspomnienia św. Augustyna opisującego w swoich „Wyznaniach” moment kiedy umierała jego świętobliwa matka.

**„Gdy zbliżał się dzień, w którym miała odejść z tego świata, dzień, który Ty znałeś, my zaś nie znaliśmy, zdarzyło się – jak sądzę – dzięki Twym niezbadanym wyrokom, że znajdowaliśmy się razem (...) Rozmawialiśmy ze sobą z ogromną serdecznością (...) gdy tak rozmawialiśmy (...) w miarę wypowiedanych słów świat wraz z wszystkimi przyjemnościami tracił dla nas znaczenie.
Powiedziała:**

„Mój synu, co do mnie to żadna rzecz nie cieszy mnie na tym świecie. Co tu jeszcze czynię i po co jestem, nie wiem. Niczego już nie spodziewam się na tym świecie. To jedno zatrzymywało mnie dotąd, że chciałam zanim umrę, widzieć cię chrześcijaninem, katolikiem. Bóg szczerzej mnie obdarował, bo zobaczyłam, że wzgardziwszy powabami świata, stałeś się Jego sługą. Na cóż więc jestem jeszcze jestem tutaj?”

Nie przypominam sobie dokładnie, co jej odpowiedziałem (...) Kiedy chorowała, zdarzyło się któregoś dnia, że straciła przytomność i nie rozpoznawała obecnych. Przybiegliśmy, szybko odzyskała świadomość, popatrzyła na stojącego brata i mnie i powiedziała do nas jakby zapytując: „*Gdzie byłam?*”
Potem spoglądając na nas zasmuconych, powiedziała: „*Tutaj pochowajcie swoją matkę*” .

W milczeniu powstrzymywałem łzy. Mój brat powiedział parę słów wyrażając pragnienie, aby nie umarła na obczyźnie ale wśród swoich. Usłyszawszy to, zaniepokoiła się i karcąc wzrokiem za takie myśli powiedziała patrząc na mnie: „Posłuchaj co mówi”. A potem do nas obydwóch:

„Ciało złożcie gdziekolwiek; z tym się nie kłopotcie, o jedno tylko proszę, abyście wszędzie gdzie będziecie, pamiętali o mnie przy ołtarzu Pańskim”.

Wymówiwszy z trudem te słowa zamilkła....”

(Wyznania, księga 9, 10-11)

Warte powtórzenia i zapamiętania są słowa świętej niewiasty Moniki. Troska o grób naszych drogich zmarłych jest rzeczywiście powinnością bliskich. W ten sposób wyrażamy nasz szacunek wobec tych osób. Niewiele to jednak znaczy w oderwaniu od modlitwy, bez modlitwy, bez pamięci duchowej przed ołtarzem Pańskim. Właśnie o modlitwę i pamięć przed ołtarzem Pańskim prosiła ona swoich synów. Niejedna odchodząca z tego świata osoba prosiła o to samo swoich bliskich. Właśnie to jesteśmy winni naszym drogim kochanym zmarłym, dziękując im za ich dobroć, za często wielką życzliwość nam okazywaną. Zabieganemu światu trzeba to przypominać. Mniej kwiatów, mniej zniczy, więcej modlitwy.

x Przemysław Kompf

Co się u nas dzieje, najbliższe zapowiedzi

Drugi rok z rzędu prowadzone są przy wsparciu środków zewnętrznych prace przy renowacji zewnętrznej wierzenickiej świątyni. W zeszłym roku prace konserwatorskie objęły wieżę kościelną. Koszt grubo ponad pół miliona złotych. W tym roku na dachu kościoła wymieniany jest na powierzchni nawy gont. Prace jeszcze trwają. Można podejść i zobaczyć jak wszystko wygląda. Koszt trochę mniejszy, ale też ponad pół miliona. Za rok trzeci etap: wymiana elewacji zewnętrznej kościoła i reszta gontu. Za dwa lata etap ostatni: elewacje wewnętrzne.

Właśnie te prace, na które parafia także przeznaczą wszystkie swoje środki zgromadzone na inwestycje, uniemożliwiają w chwili obecnej zajęcie się innymi inwestycjami, w tym także na cmentarzu. Ziemia pod

poszerzenie cmentarza została wykupiona i jest już własnością parafii. Przeskoczyliśmy w tym roku ciężką przeszkodę jaką był Sanepid. Teraz przygotowujemy plac zagospodarowania przestrzennego nowej części cmentarza. Musi on być zatwierdzony. Opłotowanie nowej części i przy okazji naprawa całości ogrodzenia możliwe będzie **dopiero za trzy lata**. Oprócz płotu przewidziane jest odnowienie bramy głównej, nowa brama boczna, kostka brukowa na głównej drodze prowadzącej do krzyża, specjalne miejsce składowania kontenerów na śmieci, nowe usytuowanie studni. Takie są plany. Może coś uda się zacząć wcześniej.

Wielkie dzięki wszystkim za ofiary składane na cmentarzu na wywóz śmieci. Skarbona i taca z 1 XI zawsze przeznaczona jest na ten cel.

Także dziękuję tym, którzy do bieżącego wydania „Wierzeniczeń” podzielili się z nami wspomnieniem o swoich drogich zmarłych **Przypominam, że oprócz 1 listopada o 14:00 na cmentarzu w roku 2024 odprawione będą jeszcze Msze św. w czwartek 9 maja o 18:30 w dawne Święto Wniebowstąpienia Pańskiego (obecnie przeniesione na VII niedzielę wielkanocną) i w środę 14 sierpnia o 21:00 w wigilię Uroczystości Wniebowzięcia Maryi.** Polecamy wtedy wszystkich spoczywających na naszym cmentarzu, wszystkich zmarłych z naszych rodzin, zmarłych parafian i dobrodziejów

x Przemysław Kompf

Święty Michale, módl się za nami

**Nie mogliśmy Cię zatrzymać przy sobie,
ale nigdy nie wypuścimy Ciebie z naszych serc**

(Sentencja nagrobna)

We wtorek 8 sierpnia br. rano dotarła do mnie wiadomość: Michał nie żyje. Dzień wcześniej widziałem go jeszcze w szpitalu, niestety był już bez przytomności, można było tylko na niego patrzeć, dotknąć jego dłoni. Słowa modlitwy wymawiały się same.

Po dwóch latach zakończyła się historia tajemniczej choroby Michała, która koniec końców zabrała go z tego świata. Przeżył raptem 25 lat. W sobotę 12 sierpnia o 10:00 odbyła się w naszym kościele, a potem na

omentarzu uroczystość pogrzebowa. Powiedziałem wtedy, że dzisiaj powinna się odbyć inna uroczystość. Powinniśmy się zgromadzić by świętować ożenek Michała, bo to przecież w tym wieku mężczyźni myślą o zakładaniu rodziny. Zresztą akurat tego dnia miałem po południu o 16:00 zaślubiny innego Michała. Właśnie z tego powodu przyszło mi do głowy to skojarzenie. Stojąc przy jednym Michale, serce ścisnęło mi żal, przy drugim towarzyszyłem mu w jego radości.



W pierwszą niedzielę października spytałem w kaplicy w Karłowicach rodziców Michała, czy można by napisać coś do listopadowych „Wierzeniczeń”. Umówiliśmy się na dzień następny w godzinach wieczornych. Chociaż o Michale jako ministrancie mógłbym sam dużo napisać, chciałem dopytać o jeszcze inne szczegóły.

Michał urodził się 11 maja 1998 roku, miesiąc później 13 czerwca był jego chrzest. Chrzczył go ówczesny proboszcz ks. Jan Iwanowski. Chrzestnymi byli nasi krewni: Joanna Andrzejewska (Różewska) i Tomasz Koperski. Dwa lata później urodziła się nasza córka Wiktoria. Mieszkaliśmy wtedy w bloku w Karłowicach. Mając siedem lat rozpoczął naukę w szkole w Wierzoncu. Uczył się dobrze bez niczyjej pomocy. Miał świadectwa z czerwonym paskiem. Do gimnazjum uczęszczał w Koziegłowach. Też wyniki w nauce miał dobre. W szkole zachowywał się spokojnie. Potem przyszedł trudny moment wyboru szkoły średniej. Nie był za bardzo zdecydowany co wybrać. Po rozmaitych rozmowach zdecydował się na Technikum Łączności. Wybrał profil technik elektronik. Też przeszedł bez problemu przez wszystkie lata nauki. Nawet za dobre wyniki pojechał w ramach szkolnej wymiany do Niemiec.

W szkole Michał miał kolegów, ale nigdy nie lubił się z nimi umawiać na jakiegokolwiek imprezy. Nie ciągnęło go do alkoholu, do papierosów, czy innych używek. Z tym nigdy nie mieliśmy problemu. Za to wciągała go motoryzacja: samochód i motocykl. Jako pełnoletni od razu zrobił prawo jazdy na samochód i motocykl i jeszcze w szkole średniej dojeżdżał swoim motorem na lekcje. Potem na jazdy umawiał się z innymi kolegami. Na szczęście nie szarżował. W czasie wakacji nie mając jeszcze nawet 18 lat podejmował pracę by trochę zarobić.

W towarzystwie lubił czymś błysnąć. Miał szeroką wiedzę. Obok gier komputerowych, które też go wciągały, lubił w internecie czytać rozmaite artykuły na jakiś temat. Jak coś usłyszał co go wciągało sam



lubiał drążyć temat i potem dzielić się tym z innymi. Potrafił to robić i to też zjednywało mu otoczenie.

Z nami jako rodzicami miał dobry kontakt. Nie był napastliwy, czy arogancki w stosunku do nas. Normalnie rozmawiał z nami. Pewnie nie mówił nam wszystkiego ale nie można by powiedzieć, że był jakoś nieprzystępny, czy zamknięty. Bardzo szanował też dziadków. Był rodzinny i w rodzinie szukał oparcia.

Nie zdążył poznać żadnej dziewczyny. W szkole do której chodził nie było ich za wiele. Przez to, że unikał

imprez koleżeńskich nie miał okazji kogokolwiek zapoznać. Nie widzieliśmy, że sam starał się coś zrobić w tym kierunku.

Szkolę średnią skończył z dobrym wynikiem i w tym samym roku dostał się na kierunek robotyka na politechnice w Poznaniu. Chciał studiować właśnie ten kierunek. Studia rozpoczął i jeszcze w czasie trwania I roku postanowił, że robi przerwę w nauce. Tu pozostaje dla nas trochę niewiadomą. Sam kierunek podobał mu się, nie miał rozczarowania. Może do wszystkiego podchodził zbyt ambitnie i coś go w danym

momencie przerosło, może otoczenie nowych kolegów, ich mało akademicki styl życia. Trochę o tym opowiadał. Być może w tym momencie pojawiały się u niego pierwsze symptomy chorobowe, których oznaką było to, że się wycofuje.

Podjął pracę w firmie, która zajmowała się zabezpieczeniami przeciwpożarowymi. Była to praca wyjazdowa, często z noclegiem poza domem, tu trzeba dodać, w niekomfortowych i wręcz dość krępujących warunkach. Nie raz trzeba było wchodzić na różne wysokości. Bardzo bał się tego, miał lęk wysokości. Po roku zostawił tę pracę zatrudnił się jako serwisant internetu w Netii. Tu znowu problemem było to, że nie miał wsparcia ze strony starszych pracowników. Od razu, jak to się mówi, został rzucony na głęboką wodę. Odpowiedzialność była duża, nie miał za bardzo doświadczenia. Czasami trzeba było jechać w nocy i po ciemku samemu usuwać jakieś awarie. Bał się.

Pojawiła się depresja, zaczął chodzić do psychologa, poszedł na zwolnienie lekarskie. Cały czas czuł się zmęczony, izolował się od ludzi, był dosyć zamknięty, grał sam w pokoju. Zaczął brać leki. Pomogły mu. Zaczął normalnie rozmawiać i pomału się aktywizował. Wyszukiwaliśmy mu różne przydomowe zajęcia, bo przecież beczyność nie jest niczym dobrym.

To był rok 2021, a więc czas pandemii. Zaczęły się szczepienia, stosownie do rocznika Michał zgłosił się na szczepienie i w maju przyjął pierwszą dawkę. W końcu czerwca drugą i tu okazało się, że na drugi dzień nie może wstać z łóżka. Lekarz mówił, że to może być rwa



kulszowa. Po miesiącu wszystko go bolało, zaczął się przewracać, miał kłopot z zejściem ze schodów, gdy ukucnął nie mógł się podnieść. Na początku jeszcze sam próbował dojechać samochodem do lekarza. Potem było to już niemożliwe. Warto też przypomnieć jak w czasie pandemii utrudniony był kontakt z lekarzami. Wszędzie ograniczenia. W sierpniu była postawiona pierwsza neurologiczna diagnoza. Dalej rehabilitacja w Piaskach. Żadnej poprawy nie było. Choroba weszła w stan przewlekły. Pojawił się wózek, w domu łóżko szpitalne. Coraz częściej przebywał w szpitalu: najpierw na Przybyszewskiego, potem na Kurlandzkiej i na końcu kilka miesięcy w klinice onkologicznej na Szamarzewskiego i tam właśnie zakończyło się jego życie. Widzieliśmy jak nie działają leki, jak traci odporność, jak zaczyna łąpać dodatkowe choroby, jak nie może jeść. Widzieliśmy bezsilność lekarzy, sami byliśmy bezsilni. Co można było zrobić na pewno zrobiliśmy. W rozmaitych jeszcze innych miejscach łącznie z zagranicą szukaliśmy ratunku. Choroba w żaden sposób nie została zidentyfikowana. By pomóc w leczeniu innych podobnych przypadków, prosiliśmy o zrobienie sekcji zwłok Michała. Kilka miesięcy czekać musimy na szczegółowe wyniki.

Najtrudniejszy był ostatni okres. Michał coraz bardziej przestawał mówić. Potem czasami już tylko coś szeptał. W końcu i tego zabrakło. Można było tylko trzymać go za ręce. W ten sposób żegnaliśmy się z nim. Michał był świadomy powagi swojej choroby, miał poczucie winy, że robi nam taki kłopot. Nie chciał być ciężarem. Nieraz widać było oczywiste zniecierpliwienie, mówił o śmierci, to znowu się zastanawiał co będzie robił jak wyzdrowieje. W sumie na pewno przeżywał bardzo godnie ten tragicznie trudny dla siebie czas. Dla nas jako rodziców, dziadków trudne jest kiedy to wszystko teraz w spokoju ogarniamy.

Tego wszystkiego wysłuchałem w domu u rodziców i dziadków Michała. Uzupełniam to przypomnieniem, że Michał szereg lat, jeszcze jakiś czas po maturze był ministrantem w kaplicy w Karłowicach. W szkole średniej podjął się funkcji lektora czytającego lekcje podczas liturgii. Kiedy dowiedziałem się o chorobie, oczywiście chciałem odwiedzić Michała. Nigdy wtedy nie przypuszczałem, że może być to choroba prowadząca do śmierci. Domowych odwiedzin było kilka. Potem przyszły odwiedziny w szpitalu. Najpierw raz, drugi byłem sam, potem umawiałem się i jechałem razem z rodzicami. Modliliśmy się. Michał prosił o sakramenty święte. Przyjmował je z wiarą zarówno

w domu jak i w szpitalu. Szczególnie przyjmujące były odwiedziny pod koniec życia Michała. Właśnie wtedy **wzruszałem się kiedy patrzyłem na Misterium Miłości Ojca i Syna oraz Mamy i Syna. W uszach słyszę „bo jak śmierć potężna jest miłość... .Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki.”** (Pieśń nad pieśniami 8,6-7) Te obrazy zostaną chyba na zawsze w mojej pamięci.



Różne osoby uhonorowaliśmy tabliczką z imieniem i nazwiskiem „rezerwując” im w ławce miejsce w naszej świątyni. To jest znak naszej duchowej pamięci o wielu pięknych ludziach, o których nie powinno się zapomnieć, albo których powinno się szczególnie szanować.

Przed 11 maja 2024 roku, taka tabliczka z imieniem i nazwiskiem „Michał Wdowiak” pojawi się na ławce obok innych naszych młodych parafialnych bohaterów: Damiana Jasińskiego i Józia Kiernickiego, w miejscu gdzie w czasie liturgii pogrzebowej siedzieli rodzice.

Fragment z nauczania w czasie liturgii pogrzebowej:

„Prosiłem by odczytać, bardzo wymowny i jakże bardzo wyrazisty tekst z Księgi Mądrości (4,7-16). Nieprzypadkowo poprosiłem o odczytanie tego tekstu:

„Sprawiedliwy, choćby umarł przedwcześnie, znajdzie odpoczynek. Starość jest czcigodna nie przez długowieczność i liczbą lat się jej nie

mierzy: sędziwością u ludzi jest mądrość, a miarą starości życie nieskalane.

Zobaczcie, na końcu czytaliśmy:

„A ludzie patrzyli i nie pojmowali ani sobie tego nie wzięli do serca.”

Ludzie patrzyli i nie pojmowali i nie wzięli sobie tego do serca. W tamtych czasach podobni do nas ludzie, podobnie myślący, podobnie zapatrzeni w swój świat... i mamy jednak sobie wziąć do serca. Tak, mamy to sobie wziąć do serca, że

„laska i miłosierdzie nad Jego wybranymi... kto umarł jako sprawiedliwy potępią żyjących bezbożnie...”

Dlatego właśnie powiedziałem, że być może modlitwa za Michała jest teraz niepotrzebna, bo jest w świętych obcowaniu, natomiast za nas, którzy tu jesteśmy i czasami jesteśmy okropnymi grzesznikami ta modlitwa jest konieczna. Konieczna....”

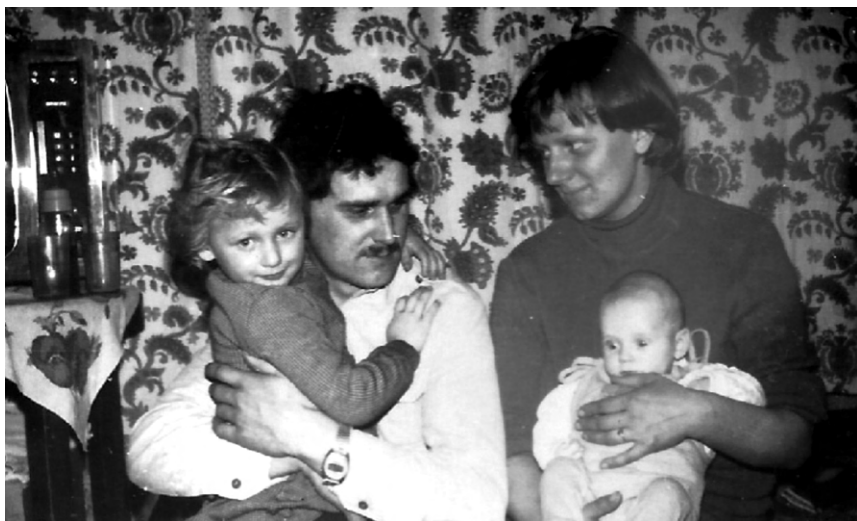
opr. xpk

Nasz Tata Leszek Sienkowski



Tata urodził się 02.10.1959 r. jako piąte z dziesięciorga dzieci Zofii i Eugeniusza Sienkowskich. Miał On ogromny szacunek dla swoich rodziców za to, że pomimo trudnej sytuacji materialnej w wielodzietnej rodzinie, zdołali wychować swoje potomstwo.

Rodzice zaczęli spotykać się w młodym wieku, mama miała 17, a tata 21 lat. Tata często przyjeżdżał do Karłowic, gdzie grał w drużynie piłkarskiej i pewnego dnia zagadnął mamę, kiedy czytała książkę przed swoim domem, który znajdował się w pobliżu boiska. Rodzice pobrali się w czerwcu 1981 roku. Przeżyli ze sobą 42 lata.



Tata prawie całe swoje życie mieszkał w Mielnie, tylko gdy ożenił się z mamą przez jakiś czas mieszkali w jej rodzinnym domu w Karłowicach i w tym czasie urodziły im się dzieci. Po pracy jeździł codziennie do Mielna, gdzie własnymi rękami budował dom dla naszej rodziny. Tata zawsze chciał nam wszystko zapewnić, może dlatego, że sam w dzieciństwie nie posiadał wiele, ale też powodem z pewnością było to, że bardzo nas kochał i zawsze nam to okazywał. Gdy byliśmy małe sam zbudował dla nas plac zabaw i basen oraz spędzał z nami dużo czasu grając na gitarze i śpiewając nam piosenki, opowiadał wymyślone przez siebie bajki oraz zabierał na spacer, bardzo lubił zbierać grzyby. Tata był bardzo sentymentalny, przechowywał nasze zeszyty i rysunki z dzieciństwa, które niestety spłonęły podczas pożaru w 2013 roku. Posiadał też dużą wiedzę na temat historii i geografii, to go bardzo interesowało, w naszym domu nigdy nie brakowało książek o tej tematyce. Można śmiało powiedzieć, że był patriotą i losy naszego kraju w przeszłości i teraz były dla niego szczególnie ważne, zawsze przy naszym domu wisiała flaga Polski. Nawiązywał często do trudnej sytuacji jaką Polacy mieli w czasie wojny, niegdyś dużo czytał na te tematy, cechował się wielką empatią i bardzo przeżywał losy ludzi w tamtych czasach.

Interesował się polityką. Śledził wiadomości w tej dziedzinie i angażował się emocjonalnie w to, co działo się w kraju i za granicą.



Często celowo unikaliśmy rozmów na tematy polityczne, ponieważ wiedzieliśmy, że mogą doprowadzić do nieporozumień.

Bardzo lubił sport, a w szczególności piłkę nożną i skoki narciarskie, zawsze kibicował naszym polskim sportowcom. Wspólnie z mamą oglądali w telewizji wszystkie wydarzenia sportowe, gdzie Polacy walczyli o puchary. Sam też w młodości grał w drużynie piłkarskiej, prowadził też zeszyty, w których zapisywał wyniki meczów. Ćwiczył podnosząc ciężary wykonane przez siebie z wiader wypełnionych betonem, trzeba przyznać, że był bardzo pomysłowy.

Zostawił po sobie bardzo dużo zdjęć, które robił przy każdej okazji. Aparat często mu towarzyszył podczas spacerów z jego psem Reksiem. Odejście psa w marcu tego roku bardzo przeżywał. Tata zawsze kochał zwierzęta i dbał o nie. Lubiał fotografować zmieniającą się okolicę i wszystkich spotkanych po drodze znajomych, niestety on znajduje się na niewielu z tych zdjęć. Często żartowaliśmy, że podczas wakacji mama ciągle musiała mu pozować.

Był bardzo życzliwy i otwarty, z każdym musiał porozmawiać i pożartować, z czego był znany. Gdziekolwiek się pojawiał od razu zjednywał sobie ludzi i wszędzie miał znajomych. Śmialiśmy się, że każdego musi zaczepić.

Do nas nigdy nie zwracał się inaczej jak Aniulka i Agatka i zawsze

musiał pogłaskać po głowie. Pomimo swej wrażliwej natury, potrafił też być stanowczy i zawsze czuliśmy przed nim respekt.

Doczekał się dwóch wnuków, z których był bardzo dumny.

Niestety 15.05. 2023 roku, po zaledwie dwudniowym pobycie w szpitalu tata zmarł. Był to dla nas cios, którego nikt się nie spodziewał. Rodzice mieli wiele planów po zbliżającym się przejściu na emeryturę. Bardzo się kochali, jak to w życiu bywa były lepsze i gorsze chwile, ale byli ze sobą bardzo związani. Tata robiąc coś na podwórku, potrafił co chwilę wchodzić do domu i pytać o coś mamę, często było to irytujące, ale teraz mama oddałaby wszystko, żeby drzwi się otworzyły i usłyszała te jego pytania.

Tak wiele chciałoby się jeszcze zrobić i tak wiele powiedzieć, lecz niestety nie było nam to dane. Zawsze uczył nas szacunku i życzliwości dla innych, jego odejście zdaje się być ostatnią lekcją tego jak wiele znaczą słowa “Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”.

Tato, wierzymy, że patrzysz na nas i wiesz jak bardzo Cię kochamy, tęsknimy i doceniamy to jakim byłeś dla nas cudownym ojcem.

Nie mówimy “żegnaj”, ale “do zobaczenia”.

Córki Ania i Agata
/Aniulka i Agatka/

Leszek Sienkowski – garść moich wspomnień

Kiedy w 1990 r., po zmianach ustrojowych odbyły się w wyborach do samorządu jednym z radnych wybranych wówczas w gminie Czerwonak został Leszek Sienkowski z Mielna (przypomnę, była to pierwsza kadencja władz samorządowych w latach 1990-1994). Dbał nie tylko o interes mieszkańców swojej gminy. Któregoś popołudnia zjawił się z prośbą o pomoc w sporządzeniu pisma odnośnie tego, by autobusy obecnej linii 323 jeździły dalej – do Tuczna. Wówczas kończyły one swoje kursy w Karłowicach (do Karłowic autobusy Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Poznaniu dojeżdżały od 19 marca 1976 roku). Oczywiście pomogłem Leszkowi i po jakimś czasie, wtedy już czerwonaćkie, autobusy zaczęły tam jeździć. Niezwykle sympatycznie wspominam szkolną wycieczkę w Karkonosze. Pojechał na nią jako rodzic, ze swoimi córkami. Był bardzo ciekaw odwiedzanych miejsc, pytał

o różne rzeczy, ale przede wszystkim służył nam nauczycielom ogromną pomocą, w pełni mogliśmy na nim polegać. Byliśmy mu za to niezmiernie wdzięczni. Kiedy przez jakiś czas razem z Bogusią hodowali drób od czasu do czasu kupowaliśmy od nich jajka. Każda wizyta w ich domu była okazją do ciekawych rozmów. Jego śmierć bardzo mnie zaskoczyła i zasmuciła.

Włodzimierz Buczyński

Grzegorz Krzewina pierwsza, jedyna i wielka miłość

W czwartek 5 października, dzień wcześniej niż zwykle, poszedłem w Karłowicach z Komunią Św. do p. Urszuli Kawczyńskiej.

Przy okazji spotkałem się z jej córką Bożeną Krzewina, z którą się umówiłem na wspomnienie jej męża Grzegorza. Pani Urszula nie raz jak byłem u niej chwaliła swojego zięcia. Opowiadała mi: *Grzesiu był i mi tu zrobił*. Był bardzo pomocny.



Niebawem, w początku grudnia będzie kolejna, druga już, rocznica jego śmieci. Dopiero co przeszedł na emeryturę. Nie zdążył się nią nacieszyć. Śmiertelnie zachorował na nowotwór. Choroba rozwijała się szybko. Miał skończone 65 lat.

Grzesiu urodził się 12 marca 1956 r. w Lubaszcu. Tam wtedy mieszkali jego rodzice Józefa i Bolesław Krzewina. Był trzecim z rodzeństwa. Po nim jeszcze na świat przyszła siostra. Tato jego pełnił funkcję dyrektora Stacji Hodowli Roślin. Przeniósł się z Lubasza do Trzcianki i tam Grzegorz chodził do szkoły podstawowej. Kończył ją w Wierzoncu, bo w międzyczasie rodzice przywdęrowali do Mielnia i tato został dyrektorem stacji w Wierzoncu

i Wierzenicy. Po ukończeniu podstawówki poszedł do Poznania do Technikum Energetycznego. Ukończył je i potem rozpoczął pracę w Centralnym Ośrodku Badawczo Rozwojowym w Poznaniu. Co tam robił dokładnie nie wiem. Następnie przekwalifikował się jako złotnik i podjął pracę w Rytostruce w Poznaniu przy Jeleniogórskiej. Przepracował tam sporo lat. Zarabiał niezłe pieniądze. Następne 4 lata przepracował w budowlance i wreszcie w 1996 roku zrobił kurs na taksówkarza, rozpoczynając pracę na własnej taksówce. Taksówkarzem był do 2020 roku. W końcówce nie szło już mu zbyt dobrze. Ostatni rok przepracował jako kierownik gospodarczy w firmie, której niestety nie pamiętam. Udało mu się znaleźć tę pracę, chociaż miał już wtedy 64 lata. W czerwcu 2021 roku przeszedł na emeryturę.

Rzeczywiście nie nacieszyliśmy się nią długo. We wrześniu byliśmy jeszcze razem na wakacjach, przedtem robił latem remont pokoju „na górze” w naszym mieszkaniu. Na wyjeździe czuł się niezbyt dobrze. Nie chciał chodzić. Po powrocie zrobił wszystkie badania. Lekarka odesłała go od razu na SOR na Lutycką do Poznania. Przewieźli go do szpitala płucnego na Szamarzewskiego. Potem wrócił do domu. W listopadzie miał mieć podaną chemię. Już jej nie dostał. Pozostał w szpitalu. Trzy dni przed śmiercią został przewieziony do szpitala w Puszczykowie i tam 1 grudnia zmarł. Ze względu na Covid kontakt z nim mieliśmy bardzo ograniczony. Dostawaliśmy przepustki na 15 minut. Musieliśmy się wymieniać, kto wejdzie. Po raz ostatni widziałam go dzień przed śmiercią. To był czwartek 30 listopada. Lekarka poszła ze mną. Grzegorz nie był już przytomny. Ona zawołała do niego: *Grzegorz, Grzegorz, chciałeś coś dać żonie.*

Grzesiu wtedy otworzył rękę, trzymał w niej różaniec. Zabrałam go ze sobą. Na drugi dzień o 8:40 przyszła wiadomość, że nie żyje.

Jak się poznaliśmy? Ja miałam wtedy 15 lat, on 19. Poznaliśmy się poprzez piłkę. Grzegorz był zapalonym piłkarzem. W piłkę grał w Karłowicach i w Kicinie. Kiedyś dostałam za zadanie zanieść po meczu piłkarzom na boisko herbatę. Poszłam z gorącym wiadrem. Nalewałam im do kubków. To się powtarzało.

Grzesiek był zaprzyjaźniony z Markiem i Ryszardem Kopciami. Ja z Ewą Linkowską i Danką Czerwińską. Spotykaliśmy się razem. Chodziliśmy na wspólne zabawy. Z czasem zostały zawarte trzy małżeństwa. Pierwsze Marka i Danki, potem było nasze 12 sierpnia 1977 roku. Ślubowaliśmy w Wierzenicy. Ewka z Ryszardem byli ostatnimi.

Wychodząc za mąż za Grzesia miałam 17 lat. Musiałam mieć zgodę sądu, Mama moja ręczyła, że będzie nam pomagać. Mama Grzesia była przeciwna naszemu małżeństwu. Trudno jej było zaakceptować tę sytuację. Potem przekonała się do mnie i to się zmieniło. Wesele było



zorganizowane w klubie, w miejscu gdzie dzisiaj mieści się sklep. Tam odbywały się tańce. Grał zespół muzyczny z Gruszczyzna. W klubie były też drobne przekąski, na „poważniejsze” jedzenie goście przychodzili do nas do domu. Zabawa trwała do rana.

Nasz syn Artur urodził się jako wcześniak. Ważył bardzo niewiele. Baliśmy się z Grzesiem długo o jego życie. Po kilkunastu dniach wróciłam po porodzie do domu, mały pozostał jeszcze w szpitalu. Mieszkaliśmy po ślubie razem z moimi rodzicami i rodzeństwem. Było ciasno. Na górze zrobiliśmy sobie maleńki pokoik. Tak żyliśmy przez kilka lat. W 1986 roku rodzice moi dostali mieszkanie w bloku. W mieszkaniu zostaliśmy sami. Mieliśmy trochę obawę, czy nas nie wyrzucą z tego

miejsca, ale pan Waligóra zapewnił Grzesia, że to się nie stanie. Grzesiu nie pracował w kombinacie i jemu nie przysługiwało mieszkanie służbowe. Musieliśmy płacić 100 % czynszu. Z opłatami dawaliśmy sobie radę. Grzegorz nieźle zarabiał.

W opiece nad dziećmi pomagała mi moja mama. Odprowadzała je na lekcje, potem były u niej, dzięki temu ja też mogłam podjąć pracę. Grzegorz był bardzo troskliwy i zaradny. Był troskliwy także w stosunku do swoich i moich rodziców. Umiał wszystkich szanować.

W piłkę grał jeszcze długo po ślubie. Nie mogłam mu tego zabronić. Później gdy były dzieci prosiłam go, by myślał o skończeniu piłkarskiej przygody. Czasami był kłopot, bo zawody wypadały i w soboty, czasem w niedziele, a nawet w tygodniu. Do końca był jednak miłośnikiem



piłki. Lubił oglądać mecze w telewizji. Chodził jako wierny kibic z szalikiem na stadion Lecha. Czasami mu towarzyszyłam. Poznałam dzięki temu także kilku piłkarzy. Musiałam przy nim polubić piłkę nożną.

Pamiętam jak kupił pierwszy samochód. Była to „Syrena”. Jeździliśmy nią na wakacje. Potem były „Octavie”. Oczywiście nie były to auta nowe. Ułatwiało nam to życie. Niejedną rzecz można było szybko załatwić.

Z biegiem lat, gdy już zostaliśmy sami i nasi synowie się wyprowadzili na swoje, Grzesiu stawał się jeszcze czulszy w stosunku do mnie. Lubił mi robić drobne niespodzianki, przynosił kwiaty, wręczał mi je bez żadnej okazji, to kupił jakiś drobiazg. Powtarzał, że mnie kocha. Jak bardzo teraz mi tego brakuje. Przeżyliśmy ze sobą wspólnie 44 lata. Wydawało się, że mamy przed sobą razem jeszcze wiele lat. Często mam trudne chwile, gdy dociera do mnie, że jego już koło mnie nie ma. Grzesiu umiał mnóstwo rzeczy zrobić samemu, teraz niekiedy czuję taką bezradność, wtedy bardzo mi go brakuje. To była moja pierwsza, jedyna i wielka miłość.

Wysłuchawszy wszystkiego dodaję od siebie jedno: Grzegorz był człowiekiem wiary i pobożności. Regularnie przychodził z małżonką do kaplicy w Karłowicach na Mszę św. Potem długi czas też przywoził swoją mamę na Mszę św. o 11:00 do Wierzenicy i tu go widywałem.

opr. xpk

W jesieni życia w nowym miejscu



Śp. Janina Stawarz była wierzenicką parafianką krótki czas. Pewnie nigdy przedtem nie myślała, że w jesieni życia opuści swoje rodzinne strony pod Krakowem i przyjedzie do Wielkopolski, do Dębogóry. Tu zamieszkała jej jedyna córka. Przyjechała do niej bo bardzo potrzebowała pomocy medycznej. Niestety nie da się komuś pomagać na tak dużą odległość. Osobę chorą stale gdzieś trzeba zawozić, dłużej przy niej być. Mąż mający swoje problemy zdrowotne nie był też już w stanie zapewnić jej skutecznej opieki. W ostatnim czasie byli małżonkami oddalonymi od siebie całe mnóstwo kilometrów. Na szczęście było kilka okazji by się widzieć.

Mężowi, p. Tadeuszowi, wtedy jeszcze trudno było podjąć decyzję o przeprowadzce. To stało się później, już po śmierci żony, kiedy okazało się, że teraz jego na dobre opanowała choroba i już sam bez pomocy nie może funkcjonować. Odwiedzam go też z Komunią Św.

Śp. Janinę poznałem odwiedzając ją, jak wszystkich innych chorych, w pierwszy piątek miesiąca. Zdążyłem do niej przyjść może kilkanaście razy: Naturalna pobożność i prawość myślenia, to jest coś co od razu



rzuciło mi się w oczy. Cieszyła się i doceniała, że córka tak się angażuje i jej pomaga. Niestety choroba postępowała i przyszło stanąć w obliczu najtrudniejszego dylematu, gdzie pochować. Janina zdecydowała: na cmentarzu w Wierzenicy, wiedziała, że córka ze swoją rodziną będzie dbać o jej mogiłę.

Przed pogrzebem odebrałem kilka telefonów z miejscowości Dulowa, gdzie żyła Janina. Niektórzy przepraszali, że z powodu znacznej odległości nie dojadą na pogrzeb, ale prosili o odprawienie Mszy św. w intencji zmarłej, mówiąc przy tym o Janinie wiele ciepłych pięknych słów. Czuło się wręcz niesamowicie silną więź sąsiedzką.

Poprosiłem p. Małgorzatę Jędraszak by opowiedziała nam o swojej mamie. Na pocztę nadesłała mi swoje myśli:

Wdzięczność dla Boga...to czuję, gdy wspominam moją Mamę...Jestem wdzięczna za to, że postawił takiego Człowieka, jakim była na mojej drodze życia, tak blisko postawił. Jestem wdzięczna za to, że pielgrzymowałyśmy razem do Pana tu, na ziemi, przez ponad 40 lat. Od najmłodszych lat była dla mnie wsparciem, drogowskazem,

przykładem, kimś, na kim ZAWSZE mogłam polegać i wiedziałam, że nigdy się nie zawiodę.

Wspólnie z Tatą stworzyli ciepły dom. Pobrali się gdy mieli 19 i 23 lata, doczekali 50 lat małżeństwa. Byłam ich jedyną córką. Dorastałam ciesząc się szczęśliwym dzieciństwem. A wiem, że nie było Jej łatwo... Mama bardzo ciężko pracowała fizycznie. Jako małe dziecko pamiętam, że często wracała do domu po nocnej zmianie bardzo zmęczona. Po 23 latach tej wyczerpującej pracy okazało się, że choroba kręgosłupa nie pozwala Jej kontynuować wyuczonego zawodu. Moja Mama zajęła



się wówczas domem i przydomowym ogródkiem. Miała rękę do wszystkiego: do kwiatów, do hodowli kóz, królików i kur, zacięcie fryzjerskie. Gdybym miała określić ten czas nazwałabym go czasem dla innych: dla męża, dla córki, sąsiadów, rodziny, czy też swojej Mamy, mojej babci, której poświęciła ponad 10 lat, opiekując się Nią, kiedy ta zachorowała. Patrzyłam wtedy na Mamę z szacunkiem, podziwiając Ją za niesamowite pokłady cierpliwości i oddanie, które

ofiarowała swojej schorowanej Matce. Pamiętam, jak wtedy zastanawiałam się, czy umiałabym tak jak Ona wydobyć z siebie tyle miłości, cierpliwości dla schorowanej bliskiej osoby... Bardzo Mamę podziwiałam... Mama miała niezwykły dar wsłuchiwania się w to, co mówią ludzie, często potrafiła znaleźć lekarstwo zarówno na ich

choroby fizyczne, jak też duchowe rozterki. Do naszego domu chętnie więc przychodzili sąsiedzi, gdyż wiedzieli, że spotkają się tu z życzliwym przyjęciem i pomocą. Mama nie miała mądrości wyuczonej na studiach, ale posiadała niezwykłą mądrość życiową.

Bycie „dla innych” i zapominanie o sobie, a zwłaszcza o chorobie tarczycy, z którą walczyła od wielu lat, spowodowało, że w 2018 r. choroba pokazała swoje prawdziwe, złe oblicze. We wrześniu odeszła moja babcia, w październiku zaś moja Mama dowiedziała się, że rak tarczycy jest w stanie głębokiego rozsiewu. Mama zamieszkała z nami, w Dębogórze. Lekarze od samego początku nie dawali nadziei na wyleczenie, ale ja nie dawałam za wygraną...próbowałam Ją ratować odbywając kolejne wizyty u specjalistów...niestety bezskutecznie...

Kiedy rozpoczęła się choroba, Mama powiedziała do mnie, że czuje, że Bóg przemawia do Niej słowami pieśni : „Pij ten kielich z Bożej woli, do ostatniej kropli sącz. I to serce co tak boli, Z sercem Bożym złącz. Niech cichutko łzy twe płyną, Do Jezusa słodkich ran, Ziemskie bóle szybko miną, i pocieszy Pan”. Bóg zawsze był u Niej na pierwszym miejscu. Była obecna na każdej Mszy św., kiedy nie mogła uczestniczyć w niej osobiście, słuchała w radio katolickim. Bardzo bliskie były jej nabożeństwa, zwłaszcza modlitwa różańcowa i koronka do Bożego Miłosierdzia. To właśnie Jezus Miłosierny i akt strzelisty: „, Jezu, Ty się tym zajmij” towarzyszyły Jej w ostatnich chwilach ziemskiego życia. Trudny czas choroby znosiła z pokorą, nigdy się nie skarżyła, nigdy nie zapytała: „dlaczego ja?”, choć przecież to takie naturalne. Kolejny raz podziwiałam Ją za uśmiech, którym obdziela każdego z nas, mimo bólu nie pozwalającego funkcjonować...Myślę, że była to siła „z góry”...

Po 3 latach walki ze straszną chorobą, w wieku niespełna 70 lat, moja Mamusia odeszła do Pana. Jestem wdzięczna Bogu za to, że mogłam towarzyszyć Jej w czasie choroby i odchodzenia do Pana... Dziś brakuje mi długich rozmów z Nią, uśmiechu, przytulenia (choć przecież jestem dorosłą osobą), otarcia łez, gdy zdarza się, że jest ciężko, rozmów przez telefon, kiedy wracam z pracy...Ale jestem o Nią spokojna, wierzę, że za swoje dobre ziemskie życie otrzymała wieczną nagrodę. A ja i moja rodzina mamy w Jej osobie tam u góry prawdziwego Anioła, który czuwa nad nami i czeka aż kiedyś będziemy wszyscy razem u dobrego Ojca w niebie...

Małgorzata Jędraszak
i wstęp xpk

Moi piękni Rodzice

Tego obrazka nie zapomnę długo. 10 czerwca tego roku poinformowano mnie przez telefon o śmierci śp. Bernadety Tomickiej. Powiedziałem, że zaraz przyjadę i rzeczywiście pojechałem. Wszedłem do pokoju gdzie leżała zmarła. Z jednej i drugiej strony łóżka stali dwaj młodzi dorośli wnukowie i z różańcem w ręku modlili się za swoją babcie. Czy dla osoby odchodzącej z tego świata może być lepsza nagroda za jej dobre życie? Potrafiła pięknie żyć, umiała dobrze wychować i wprowadzić w dorosłość swoje dzieci, tak że przeszło to i na wnuki.

Tydzień przed śmiercią, w pierwszą sobotę miesiąca, zdążyłem ją odwiedzić z Komunią Św. Widać było, że jest już w bardzo słabym stanie. Z trudem wypowiada pojedyncze słowa. Kilka lat przychodziłem w czasie odwiedzin chorych. Kiedy żył śp. mąż Henryk Tomicki odwiedzałem ich razem. Od córki Anny Perz dostałem wspomnienie o jej rodzicach.



Rodzice oboje pochodzili z wielodzietnych rodzin zajmujących się rolnictwem. Mama, Bernadeta (z d. Sobolewska), urodziła się jako najstarsza spośród dziesięciorga dzieci w małej wsi za Koninem. Tata

urodził się w Karłowicach – jako najmłodszy z czterech synów (oprócz braci miał jeszcze dwie nieżyjące już siostry – najstarszą Marysię i najmłodszą Krysię). Dwaj starsi bracia, Stefan i Franciszek wraz z żonami, Zofią i Gertrudą też są pochowani na wierzenickim cmentarzu. Ostatni z całego rodzeństwa Tomickich, Jerzy mieszka nadal w Wierzonce.

Dzieciństwo moich rodziców nie było łatwe. W domu panowała bieda, trzeba było pomagać rodzicom w gospodarstwie, mama opiekowała się też młodszym rodzeństwem. Ze wspomnień mamy pamiętam, jak pewnego wieczoru moja babcia nagle zarządziła, żeby wszystkie dzieci spały w innym miejscu niż zwykle. Nie było to do końca zrozumiałe, ale okazało się, że w nocy ściana, przy której dzieci miały swoje łóżko, runęła. Opatrzność Boża czuwała... Z kolei tata opowiadał, jak boszo szedł z Karłowic do Wierzenicy z butami na ramieniu, które wkładał dopiero przed wejściem do kościoła, żeby ich nie zniszczyć, a prezentować się przed ołtarzem godnie.

Po ukończeniu szkoły podstawowej tata zrobił kurs na traktorzystę i podjął pracę w PGR, oddając całą pensję rodzicom (no może z wyjątkiem tego, co wydawał na papierosy, bo niestety zaczął palić



w wieku 17 lat). Mama ukończyła kurs przedszkolank w Koninie i podjęła pracę w Karłowicach jako opiekunka w ochronce dla dzieci. Tutaj drogi moich rodziców się zeszły. Tata szybko zwrócił uwagę na ciemnowłosą dziewczynę i zakochali się w sobie. Mama wspominała, że kiedyś na randce, siedząc na trawie czytała tacie wiersze, a tata przyjąwszy wygodną pozycję, zwyczajnie... zasnął.

Praca traktorzysty nie trwała długo, bo wkrótce upomniało się o tatę wojsko. Trafił do Wojsk Ochrony Rządu (lub coś w tym rodzaju), wyjechał do Warszawy i pełnił wartę przed Belwederem. Wojsko odcisnęło duże piętno na tacie – służba w czasach głębokiej komuny nie była prosta, więc opowieści taty o wojsku wszyscy znali niemalże na pamięć. Po powrocie z Warszawy tato zatrudnił się w zakładach budowlanych w Poznaniu. Mama zamieniła ochronkę na sklep spożywczy. Zamieszkała u dalszej rodziny w Krzesinach. Nadszedł czas założenia rodziny – pobrali się w kwietniu 1959 roku i zamieszkali w małym, wcześniej wyremontowanym przez siebie wynajętym mieszkanku w Krzesinach. Początki mieli bardzo trudne, zaczynały niemalże od zera. Mieszkanie było jednopokojowe z kuchnią, bez bieżącej wody, z wychodkiem w podwórzu. Pierwszą ich szafą był gwóźdź na ścianie.

Żyjąc bardzo skromnie nie zapominali o innych. Siostry mojej mamy na czas nauki lub znalezienia jakiejś pracy po kolei mieszkały u moich rodziców, co w tak małym mieszkaniu było nie lada wyzwaniem, zwłaszcza kiedy pojawiły się dzieci – syn Wojtek (1960) i córka Ania (1965). Dzięki ciężkiej pracy (tata zatrudnił się w Elewatorach Zbożowych, mama nadal w sklepie) i umiejętności gospodarzenia, stopniowo dorabiali się, żeby zapewnić rodzinie godziwy byt. Mama nieustannie pisała podania do spółdzielni mieszkaniowej o przyspieszenie przydziału mieszkania, co ostatecznie nastąpiło w 1972, kiedy przeprowadziliśmy się na Osiedle Przyjaźni w Poznaniu. Trzy pokoje z balkonem i łazienka z wanną (!) były dla nas niesamowitym luksusem. Kolejne siostry pomieszkiwały z nami, a tym, które wyszły już za mąż mama pomagała w zdobyciu mieszkań spółdzielczych, pisząc podania, a nawet listy do redakcji gazet z prośbą o interwencję w tej sprawie. Dzięki tym wysiłkom dwie siostry dostały mieszkania.

Można powiedzieć, że całe życie zawodowe moich rodziców to była bardzo ciężka praca, w systemie zmianowym, kiedy czasem dosłownie mijali się, żeby zapewnić opiekę dzieciom. Tata kolejny raz zmienił pracę – zatrudnił się w Zakładach Metalurgicznych Pomet, gdzie pracował w odlewni w bardzo wysokich temperaturach. Płaca była lepsza, ale warunki bardzo szkodliwe dla zdrowia. Mama zaocznie skończyła szkołę zawodową handlową, dzięki czemu mogła awansować na kierowniczkę sklepu. Dużo uwagi poświęcali dzieciom, dbali o ich naukę i właściwy wypoczynek. Latem wyjeżdżaliśmy na wczasy nad



rodzinne: od lewej siostra taty, bratowa, brat, żona (nasza mama), 2 bratowa, tata, dzieci: druga od lewej Anna Tomicka, najmniejszy: mój brat Wojtek

morze lub w góry – był to wyjątkowy czas, kiedy przez dwa tygodnie widzieliśmy oboje rodziców jednocześnie. Oboje z bratem czuliśmy miłość rodziców, którzy zapewnili nam szczęśliwe dzieciństwo.

Rodzice dbali też o kontakty z dalszą rodziną. Zapraszali krewnych i znajomych na przyjęcia imieninowe, uroczyste obchodzili wszystkie święta religijne. Pamiętam ich modlących się wieczorem i rano (kiedy czas pozwalał), klęczących przy łóżku. W każdą niedzielę i święta braliśmy udział we mszy świętej.

W latach 80-tych sytuacja mieszkaniowa dla młodych była beznadziejna, więc kiedy brat ożenił się w 1983 roku, był zmuszony mieszkać z rodzicami. Z czasem pojawiło się troje wnucząt, więc można sobie wyobrazić, że życie w trzech niewielkich pokojach nie było łatwe. Rodzice jednak starali się, żeby wszystko jakoś pogodzić. Oczywiście bywały trudne chwile, kiedy cierpliwość była na wyczerpaniu, ale były to tylko chwile...

Po sześciu latach brat wyprowadził się, rodzice mieszkali krótko tylko ze mną. Kiedy wyszłam za mąż, wyprowadziłam się do wynajętego



mieszkania, ale po roku, tuż przed urodzeniem pierwszego dziecka wróciłam z mężem i rodzice kolejny raz służyli pomocą. Pamiętam, kiedy wróciłam z porodówki, a mama tak pięknie się mną opiekowała. Po dwóch latach mogliśmy kupić własne mieszkanie, więc rodzice wreszcie mogli odetchnąć. Bywały sytuacje różne, ale rodzice nigdy nie skarżyli się i nie odmówili pomocy bratu czy mnie.

Emerytura rodziców minęła pod znakiem opieki nad wnukami, wyjazdami do sanatorium lub na

wycieczki, a także pracy na działce, którą mama szczególnie lubiła. Tata był mniej entuzjastyczny, ale zawsze pomagał mamie. W ogóle dbał o mamę, i nawet jeśli w pierwszym odruchu powiedział nie, to za chwilę posłusznie robił to, o co mama prosiła. Mama również troszczyła się o tatę i miło było widzieć, jak po tylu latach ich miłość ciągle trwała.

Kiedy za namową rodziców kupiliśmy działkę w Wierzoncu pod budowę domu, rodzice byli bardzo przejęci – zwłaszcza tata, bo to jego rodzinne strony. Kiedy przyjeżdżali tutaj, tata pokazywał i mówił - to moja

szkoła, a w tamtym domu mieszkałem z rodzicami. Mama z kolei dodawała – a to drzewo, przy którym przewróciłam się na rowerze. Z czasem rodzice zaczęli podupadać na zdrowiu. Oboje mieli problemy z kręgosłupem, co w przypadku mamy skutkowało problemami w poruszaniu się. Miało też to związek z chorobą Parkinsona, a z czasem z demencją. Tato mimo, że dawno rzucił palenie, ostatecznie zachorował na raka płuc. Kiedy zaczęła się pandemia, było jasne, że nie będziemy w stanie zapewnić opieki na odległość, więc przeprowadziliśmy rodziców do nas. Tata uwielbiał obserwować ptaki, jak posilały się w karmniku w naszym ogrodzie. Mama lubiła rozwiązywać krzyżówki i grać w scrabble, potem scrabble zamieniły się w chińczyka. Niestety choroby ich postępowały i stan się pogarszał. Tata zmarł 12.03.2021, a mama odeszła 10.06. bieżącego roku. W obu przypadkach tak się złożyło, że wszystkie nasze dzieci wraz z małżonkami byli obecni przy śmierci Dziadków, mogliśmy im towarzyszyć do końca, modląc się razem w ich intencji.

Życie rodziców nie było łatwe, każde z nich miało swoje słabości i gorsze chwile, ale potrafili je przezwyciężyć i dać piękny przykład wiary, wiernej miłości i dawania siebie innym. Wyposażyli nas w trwały fundament, dzięki któremu nasze życie jest szczęśliwe. Na zawsze pozostaną w naszych sercach.

Anna Perz
wstęp xpk

Ogłoszenie parafialnego organisty



Duet DJ "Do Tańca"

Oprawa muzyczna imprez:

„DO TAŃCA”

Bankiety/bale/urodziny/jubileusze

Profesjonalny sprzęt dj'ski oraz zestaw oświetlenia
kontakt: 794 003 773



W 2024 roku zapraszamy
na Msze św.
na wierzenickim cmentarzu

9 maja o 18:30
w dawne święto
Wniebowstąpienia
Pańskiego

14 sierpnia o 21:00
w wigilię uroczystości
Wniebowzięcia NMP

1 listopada o 14:00
Wszystkich Świętych

wierzenica.parafialnycmentarz.pl

W zeszłym 2022 roku została uruchomiona strona internetowa wraz z wyszukiwarką grobów Cmentarza w Wierzenicy.

Prosimy rodziny zmarłych o informacje, aktualizacje, uzupełnienia o grobach bliskich, jeżeli dane na stronie nie zgadzają się.

Kontakt: bezpośrednio z ks. Proboszczem
lub mail mariamaciolek@op.pl

Wierzenicznia * 5 /181/ 2023* Rok XXIV

Pismo wychodzące przy Parafii p.w. św. Mikołaja w Wierzenicy

Redagują: ks. Przemysław Kompf, Ewa Buczyńska, Włodzimierz Buczyński, Maciej Dominikowski

fotografie jeśli nie zaznaczono inaczej Włodzimierz Buczyński
oraz archiwa rodzinne

skład, łamanie i opracowanie graficzne Maciej Dominikowski

adres: Wierzenica 46 * 62-006 Kobylnica e-mail wierzenica@wp.pl

